

Dym

Maria Konopnicka



calibre 0.9.27

Maria Konopnicka

Ile razy spojrziała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił siwym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tym była dziwna błogość i jakby pieśczość. Ludzie szli i przechodzili śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrział w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalowym, mieniącym się barwami jutrzni tle nieba dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ogień zanieca, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerce na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem. - Oho! - szeptała wtedy uśmiechając się - Marcyś "fasuje"...

Istotnie "fasował". Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem, za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, którymi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębowiska dymu białeły, rzędły, stawały się lżejsze, aż wskroś pogodnych błękitów wybiły się w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

- Wszystko dobrze... - szeptała - wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzoźową miotłą i rozpalając na kominku drewnka do południowego posiłku. Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina, z wspaniałą kitą dymu, wznosiło się w błękity cienie, sinawe pasemko sponad dachu facjatki, gdzie mieszkała wdowa; pasemko tak wątle i nikłe, jak tchnienie starych piersi, co je, wydobyły z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nie tylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam u komina stara jego matka w bieluchnym czepku na głowie, w tołubku przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona, szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjałów.

Z podwójnym tedy zapałem dorzucał na palenisko świeżą szufłę węgla i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw siebie szły w niebo dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz, i drugi powietrze ostrym przykrym świstem, a chłopak jak huragan do izdebki wpadał.

- Mamo, jeść! - wołał już od proga, a cisnąwszy furażerkę na stół, biegł do klatki z kosem,

wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły, do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go wyuczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną żółtą serwetkę, w niebieskie jelenie wyrabianą, i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa. Znikał on też prawie w połowie. Ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał a precz dogadywał:

- Dobry chleb, mammo!

- Dobry, synku! - odpowiadała za każdym razem wdowa. - Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce jego Przenajświętszej...

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikająca i zawartość misy.

- Dobry barszcz, mammo - mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mieszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiół, co miał przed sobą, i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł. pytała skwapliwie:

- A może byś, synku, jeszcze... Mnie dziś coś nie bardzo jakoś...

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje; ale bała się wyraźnym kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

- Ano - mówił chłopak - kiedy mama nie je... Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc - Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi... Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swojemu.

- Co mama chce od tego barszczu? - pytał. - To królewski barszcz!

- Byłby on, byłby, synku - odpowiadała mrugając oczami - tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrakło...

Zdarzało się, że nie dojadał. Zlewała tedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak aby syn nie spostrzegł tego. Tę resztę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, ogryzając ostatki chleba. Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć musiał. Zaledwie zjadł, zegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną, wychudłą rękę, chwycił furazerkę, a gwizdnawszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w rękę i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

- Święty Antoni! - mówiła kręcąc głową - i z leceniem takim! Nogi jeszcze połamię... schody porozbija...

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kanonady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki. ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna łątała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki... Dziwne bo przybierał i kształty, i barwy. To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak lekuchna zasłona w powietrzu wiał siejąc przed siebie obłoczki różane; to jak kadzielnicy prosto w górę szedł wełniąc się miękko po skrajach, to jak olbrzymi pióropusz pod słońce się palił, z komina jak z hełmu, wiatrem wiejąc; to się w jakiejś postaci cudne wydłużał, w jakiejś mary nieziemskie, w jakiejś widzenia...

Czasem go wiatr wydymał jak żale wielkiego statku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadźdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał i płatami po dachach się wieszał, i tłukł się nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dzieć.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy. Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gorzała ona wprost facjatki szeregiem oświetlonych okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczękała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądlami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granatu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego skroś nieba szły i het precz odbijały wielkie ciche zorze. Patrzała na nie wdowa w zadumaniu. Z zadumy tej wyrwało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącym z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w Blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn i od progu już znowu wołał:

- Mamo, jeść!...

A razem z tą młodą silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwileczkę to i owo rozpytującej się o ubiegły dzionek matce, po czym zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

- Idź spać, synku, idź spać! - mówiła matka głaszcząc go po głowie. - A to jutro do dnia ci znów trzeba...

- Pójdę, mamó... - odpowiadał sennym głosem. - Zmordowałem się tak, że to ha!

- A pacierz, synku, zmów - przypominała jeszcze.

- Zmówię, mamó

Całował jej rękę klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie odmawiał szybko półgłosem "Ojcze nasz" i "Zdrowaś", tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnym ziewnięciem, po czym bił się hałaśliwie w piersi, gnał z rozmachem i zdjawszy pośpiesznie odzież rzucał się a twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słyhać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczeriałym, ze złocistego tła wychylającym się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka gasła. Kos przestawał się trzepotać po klatce. Uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się budzić. Z tym budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości, krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkim zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną, i zwlókłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewkę dla syna i szepcząc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda poranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca Matka oraz to na twarz tę powiodła oczyma, rada by już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

- Niech ta! - szeptała półgłosem. - Niech ta jeszcze ździeblucho pośpi...

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

- Marcyś! A!... Marcyś! Wstawaj, synku! gwizdzą... Chłopak odwrócił głowę do ściany.

- To kos, mamó.. - mówił wpółprzytomnie.

- Ale! kos tam! We fabryce gwizdają synku, nie kos! Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruzczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swoim miejscu pierwszy stanąć musiał, przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży, niedzieli nie wyjmując nawet.

Ale jednego razu, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł. Matka już była przy nim.

- Co to? Co ci, synku, co? - pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie: Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca. - Objęła go ramionami matka.

- Co ci to, synku, co ci to? - pytała tuląc chłopaka jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

- Nic, mamó - przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem - nic... Tylko śniło mi się... że... piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązał, jej w piersi. Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszonym wzrokiem.

- Piorun, mamó - mówił cichym, urywanym głosem taki czerwony, straszny jak smok. Na piersi mi padł, mamó... taki straszny... czerwony...

Umilkł i dyszał głośno. Wdowa opanowała się jakoś.

- Co tam, synku! - mówiła głaszcząc go po rozpalonym policzku.

- Co tam!... Sen mara, Bóg wiara. Co tam synku! A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł. - Niech mama już idzie - rzekł - niech mama idzie, położy się... Ja usnę...

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy. Spojrzała na niego raz i drugi.

- A czemu nie śpisz, synku? - spytała.

- Nie mogę, mamó.. - odpowiedział cicho, skarżącym się głosem. .

Podeszła i siadła przy nim.

- Nic się nie trap, synku! - przemówiła. - Nic się nie trap.

Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś nimi wdowie niebogiej jedyne synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza... A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi albo pannie śni. Ot, co, widzisz, piorun znamionuje... Przecie sennik mam, to wiem. Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschlą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli zaczął być i też się uśmiechnął.

- To mama mówi, że wesele? - spytał.

- A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele... Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

- To ja już wstanę, mamó...

- Wstań, synku, wstań... Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmieł się Marcyś, uśmieła się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, rażne, swobodne, zwyczajnie

młode nogi... Nawet spaczone i spróchniałe schody nie skrzypiały dziś, tak jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takim przeraźliwym echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyjrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzął w górę. Może w okienko, a może tak sobie...

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina. Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na pożółkłej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najweselszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochryplym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamkami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbieleły jakby u trupa nagłą jakąś zgrozą...

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy: - Kotłowy!... kotłowy zabity!

Długo jeszcze potem lata siadywała w tym samym okienku, patrząc osowiałym, mętным wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr nosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach...

Przygotowano na podstawie bookini.pl